Rok 1937 17 października Nr 42

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Królowa miłosierdzia

Noc głęboka otuliła już od dawna dworzec królewski na Wawelu, jeno w narożnej baszcie na Kurzej Stopce, kędy ulubione komnatki swoje zamieszkiwała królowa, jaśniały okna światłem przyćmionym.

Sen nie śpieszył się wcale z przymknięciem na spoczynek oczu Jadwigi, myśli jej bowiem wybiegały w dalekie światy... To w rodzinne strony, gdzie, niby zachodząca gwiazdka, pobłyskiwały jeszcze niekiedy wspomnienia utraconego szczęścia... To znów zawracały czem prędzej w stronę przepastnych puszcz litewskich, skąd — jakby od wschodzącego słońca, biły ku niej złociste promienie roznieconej tam świeżo wiary świętej.

Uśmiechnęły się ku tym blaskom cudownym jej smutne oczy, dłonie mimowoli złożyły się jakby do modlitwy i niespodziewanie ugięły się kolana. Uklękła na środku komnaty twarzą ku oknom, co się właśnie zwracały w stronę, kędy daleko, daleko, hen, za lasami, jeziorami i rzekami legła odwieczna Litwa.

Niby wstęga niezmierzona, rzuciła się przed wzrokiem duszy Jadwigi droga od stóp Wawelu tam wiodąca... Na tej drodze jakby jej własna zamajaczyła postać... We wzniesionych dłoniach kielich przedziwnego kształtu...

— Chryste — szepnęły wargi — w sercu własnym zaniosłam Cię w one pogańskie mroki, abyś je przeniknął światłem Swojej boskości... A oto teraz mnie samą mroki ogarniają rozpaczne... Ukoj tęsknotę, ukoj ból wieczysty, zbliż miłosierdzie Swoje, abym Cię wciąż czuła przy sobie, bo chyba do Ciebie to jednego tęskni wciąż dusza moja na ziemi...

Łzy bezwiednie potoczyły się spod powiek przymkniętych i zwilżyły dłonie stulone. Myśl się ocknęła i pobudziła senne zmysły, bo oto właśnie do uszu królowej dotarła umiłowana melodia. To przez otwarte okna wpłynął hejnał z Mariackiej wieżycy.

Jakby anielski uśmiech rozlał się po bladych licach Jadwigi. Podniosła się z klęczek i stanęła przy oknie na stopniach kamiennych. Spojrzała w dół ku miastu, które rozłożyło się u stóp zamkowej góry, potem ku gwiazdom roziskrzonym wysoko, aż utkwiła wzrok w samotnym światełku jakby zawieszonym między niebem a ziemią. To stamtąd, z tej strażnicy słabo oświetlonej kagankiem, niosła się nuta cogodzinnego westchnienia ku świętej Boga Rodzicielce.

Westchnęło też z całej mocy i serce królowej, jakby się przepełnić chciało po same brzegi czarem tej króciuchnej piosenki, którą niegdyś przerwała zatruta strzała tatarska, trafiwszy w gardziel trębacza.

— O, Matko, Matko Chrystusowa, stań się dla tego królestwa mojego królową nieśmiertelną i przysporz mu szczęścia, jakiego my, władcy śmiertelni, zapewnić nie możemy...

Cisza jakaś ukojna spłynęła w duszę Jadwigi. Zmniejszył się ciężar smutku i tęsknoty, zamilkły żale nawet niewysłowione, a natomiast wzmogła się pewność, iż ofiara, jakiej zażądał od niej przed laty sam Bóg, nie pójdzie na marne, lecz stanie się dla obu krajów zawiązkiem szczęścia przyszłego i mocy.

Już teraz trudnoby jej było wyrwać z serca miłość, jaką ogarnęła całą swoją przybraną ojczyznę. Polska, która pierwsza ofiarowała młodziuchnej dziewczęce swoją wspaniałą, Bolesławów i Kazimierzów prześwietną koronę, stała się już dla Jadwigi ukochaną córą pierworodną,

dla której szczęścia nawet by węgierską, po swym ojcu odrzuciła koronę... Zaś Litwa — ta dzika pasierbica, do niedawna składająca jeszcze z jeńców polskich okrutne ofiary dla swoich bożków kamiennych — och, jakże straszliwie głęboko wdarła się w serce królowej... Rana — zda się — po dziś dzień krwawi się jeszcze, ale za skarby całego świata, ni za największe szczęście osobiste, nie wyrzekłaby się już dzisiaj tej córki przybranej.

Wszakże to ona, Jadwiga, odziała Litwę w białe giezło świeżo ochrzczonego dziecięcia... Wszakże to jej ręce uczyły kreślić pierwsze znaki krzyża na czole i piersiach, które dotychczas jeno przed bałwanami pochylać się umiały w trwodze zabobonnej... Wszakże to przez nią rozniosła się w pośród szumu borów litewskich pieśń o Bogu prawdziwym i Jego Matce przeczystej... Ona to, apostołka Pańska, stała się aniołem zwiastującym zbawienie biednemu ludowi...

Ani się spostrzegła królowa, jak już nowy hejnał rozegrał się nad uśpionym grodem.

— Noc późna... — szepnęła sama do siebie i odeszła od okna.

Nieprędko jednak znalazła się w swym posłaniu, skromnym, pozbawionym wszelkich wygód królewskich. Długie i żarliwe modły do Pana Zastępów trzymały ją na klęczkach, niby pokutnicę błagającą przebaczenia za grzechy. A kiedy nareszcie znużone oczy chowały się już za gęstą zasłonę rzęs, nowy hejnał Mariacki uderzył w rozedrgane miłowaniem serce.

. . . .

Nazajutrz dzień wstał rozpłakany beznadziejną słotą. Zasmuciło to królowę, bo właśnie dziś chciała być za miastem na Piasku, aby obejrzeć budowę kościoła, którą rozpoczęła wraz z mężem niedawno. Ciągnęła ją tam i pamięć o biednym murarzu, którego potrafiła pocieszyć nadzieją i wesprzeć serdecznie w jego strapieniu i biedzie. Pamięta jeszcze do dziś wpatrzone w nią jego oczy, z jakimś jakby przerażeniem, a jednocześnie i zachwytem, spotykanym na ludzkich obliczach jeno przed obrazami świętych. Właśnie na budowie stopę swą oparła o kamień, by odpiąć u trzewika kosztowną sprzążkę i dać mu ją zamiast jałmużny, gdy murarz taki wzrok na królowę podniósł.

Niepokoi ją to spojrzenie i budzi wyrzuty sumienia, bo czyliż za zwykły uczynek miłosierny aż taka należy się zapłata... Musi więc raz jeszcze widzieć się z tym człowiekiem i tylko niepewność ją dręczy, zali rozeznać go potrafi w pośród gromady robotników.

— Skoro deszcz nie pozwala obejrzeć budowy tego kościoła, odwiedzę dziś swoich chorych — zdecydowała nagle i klasnęła w dłonie.

Otwarły się ciężkie podwoje i wsunęła się do komnaty młodziuchna służebna.

— To ty, Zochno, a gdzież podziała się Jagienka? — spytała zdziwiona królowa.

Dziewczyna spuściła ku ziemi nieśmiałe spojrzenie i dopiero kiedy poczuła dotknięcie dłoni królowej na swoim ramieniu, podniosła ku niej oczy szklące od łez wstrzymywanych.

— Co ci, kochanie, dlaczego płaczesz? — padło tkliwe pytanie.

Zamiast odpowiedzi dziewczyna rzuciła się do stóp Jadwigi i dopiero teraz wybuchła łkaniem serdecznym.

— Miłościwa... miłościwa pani... — mieszało się wraz ze szlochem — pozwól... pozwól mi... przy sobie...

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, dziecino, przecież razem z Jagienką jesteście do mojej usługi.

— Ale zawsze... zawsze... i wszędzie... — błagalnym głosikiem kwiliła Zochna.

Uśmiechnęła się królowa.

— To zazdrościsz jej, że niekiedy biorę ją z sobą, gdy trzeba, aby mi towarzyszyła w drodze.

— Ja nie wiem, ja nie wiem, miłościwa pani, ale ja ciebie tak strasznie... tak strasznie...

Nowy wybuch płaczu zdusił w gardle dalsze słowa.

Dokończenie nastąpi.

Eła Oleska.

Ja nie z roli ani z soli wyrosłem...

Dziwne na pozór te słowa, zawierają jednak myśl bardzo głęboką. Wiadomo kto je wypowiedział. Jeden z największych, a zarazem najszlachetniejszych, najofiarniejszych Polaków — Stefan Czarniecki, niestrudzony obrońca Ojczyzny, nieustraszony rycerz, który od lat młodzieńczych po ostatnie godziny żywota trwał w nieustannym trudzie na straży całości i dobra Rzeczypospolitej. Gdy inni za mniejsze zasługi, albo i bez nich, obdarzani byli nagrodami czy to w olbrzymich majątkach ziemskich, czy w dających wielkie dochody kopalniach soli, — on nawet tego, co mu się słusznie należało — hetmańską buławę koronną, dostał dopiero na łożu śmierci.

Stąd to właśnie ów bolesny wyrzut, że jedynie rany i cierpienia były mu nagrodą za nieustanne znoje w walkach nieprzeliczonych.

Bardzo ciężkie były to czasy dla Polski. Szwedzi, Moskale, Kozacy, Wołosi, Tatarzy, niepokoją bezustannie kraj, to też Czarniecki z jednego pola bitwy przerzuca się na drugie, a wszędzie, gdzie się pokaże, sieje postrach i zwycięża nieprzyjaciół. Schwytany raz podstępnie przez Tatarów, gdy z polecenia króla Władysława IV. udawał się na układy z Kozakami, przez dwa lata pozostaje w niewoli. Wykorzystuje ją na zaznajomienie się z wojennymi zwyczajami tatarskimi, by później tym skuteczniej zadawać pohańcom dotkliwe klęski. Gdy w jednej z walk na Ukrainie zostaje ranny kulą w usta i traci przytomność, natychmiast po jej odzyskaniu, dławiąc się jeszcze własną krwią, pyta o wynik bitwy. Od tego czasu wódz znakomity znany jest w kraju nie tylko z nieustraszonej odwagi i męstwa, ale i ze srebrnego w ustach podniebienia oraz syczącego przez to głosu.

Widziały chwałę jego wszystkie ziemie Rzeczypospolitej, od południowo-wschodnich kresów ukraińskich po brze-



Kościół w Czarncy ufundowany przez hetmana Czarnieckiego.

gi Bałtyku; widział go Kraków i Poznań, Płock i Częstochowa, widział go Gdańsk i Warszawa, gdzie po świetnym zwycięstwie nad Moskwą, rzuca u stóp tronu królewskiego 115 zdobycznych sztandarów i gdzie wielki hetman koronny w obecności monarchy i posłów wygłasza mowę o jego niespożytych zasługach. Chwała jego przekroczyła i granice własnego kraju, kiedy to w pogoni za Szwedami, spiesząc na pomoc zagrożonym przez nich Duńczykom, przebywa wpław ze swymi hufcami cieśninę morską i wpada na karki osłupiałych wrogów.

Wkrótce po wielkich triumfach warszawskich, wyrusza sędziwy wódz na nowe boje na wschód kraju, przeciwko Moskwie i Kozakom i tam przy zdobywaniu miasta Stawiszyna otrzymuje ciężką ranę, która staje się dlań śmiertelną. Na prośby wojska wycofuje się z pola bitwy, wierni żołnierze wiozą go na sankach lub niosą na noszach do Lwowa. W tej drodze ostatniej swego życia dosięga go wreszcie nagroda w postaci polnej buławy koronnej, którą mu wręcza posłaniec królewski. Najwyższy hetman jednak już w parę dni później umiera we wsi Sokołówce pod Brodami w r. 1665, zostawiając potomnym po sobie przykład najszczytniejszej miłości Ojczyzny i bezinteresownej dla niej służby.

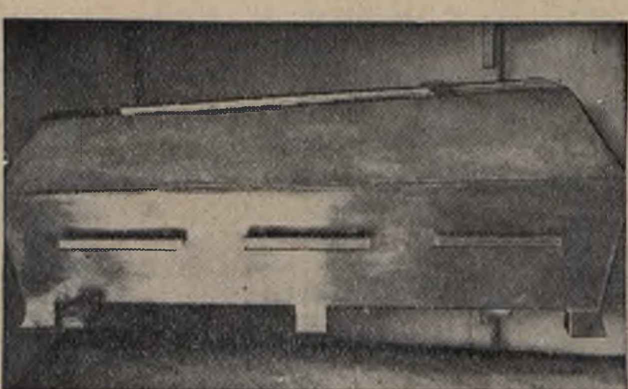
Jeszcze w pełni sił i zdrowia będąc, ufundował Czarniecki w swojej rodzinnej wsi Czarncy w sandomierskim kościół na podziękowanie Bogu za odniesione zwycięstwa. Tam też został w podziemiach pochowany i tam wzniesiono mu w przeszło 300 lat później, bo w roku 1935 pomnik-grobowiec, przedstawiający hetmana na koniu z buławą w ręku. W ogóle doczekał się Czarniecki wielu pomników, zarówno w rzeźbie jak przede wszystkim w malarstwie. Również i Niemcewicz w swych „Śpiewach historycznych“ uczcił go wierszem, a poeta Czajkowski w rzewnych słowach przedstawił ostatnie jego chwile przed śmiercią, gdy do łoża umierającego wojownika przyprowadzają wiernego towarzysza jego wypraw rycerskich — białego rumaka.

W dniach 15 i 16 października odbędą się teraz w Czarncy wielkie uroczystości: przeniesienie prochów hetmana w nowej metalowej trumnie z podziemi kościelnych do grobowca w kościele. Na pamiątkę udziału Czarnieckiego w obronie Ojczyzny w czasie „Potopu" szwedzkiego, specjalna sztafeta przyniesie do Czarncy z Częstochowy symboliczny ogień zapalony przed cudownym obrazem Matki Boskiej na Jasnej Górze. Na uroczystość w Czarncy spodziewany jest zjazd wielu dostojnych gości, a między nimi Naczelnego Wodza, Marszałka Śmigłego-Rydza.

Pożegnanie hetmana z rumakiem

Zarżał słępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny.
— Wprowadźcie go! — skinął na husarzy.
I wnet „biały" po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
(A obydwaj biali, jak dwa duchy).
Śmiał się hetman, jak dzieciak szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegi grzywy:
— „O, mój biały"... A biały spokojnie
Zda się z panem rozmawiać o wojnie.

A. CZAJKOWSKI.



Trumna ze szczątkami hetmana Czarnieckiego w kościele w Czarncy.